

**STEFANO
CONTI**

**JESTEM
IMPERATOREM**

POWIEŚĆ



Jestem imperatorem, Ankona 2017

Na okładce:

Opracowanie graficzne ze zdjęć autora *Mostu Magdaleny* zwanego również *Mostem diabła* (Borgo a Mozzano, Lukka)

Spis treści

Prolog

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

Prolog

26 czerwca 363 n.e.

Toczy się zaciekle walka pomiędzy wojskiem rzymskim a Persami. Nagle czas wydaje się stanąć w miejscu: oszczep przebija brzuch Juliana.

«Szybko, imperator został trafiony!»

Młody władca kołysze się w siodle swojego konia, a następnie spada. Leżąc na ziemi na wznak, stara się wydobyć ostrze, raniąc sobie przy tym palce:

«Leonzio, wyciągnij ze mnie tę włócznię».

«Nie mogę, mój Panie. Umarlibyście.»

«Już jestem martwy». Krew wypływa obficie. «Proszę tylko, żebyś pomógł mi zakończyć żywot wojownika: pomóż mi wsiąść na konia.» Zaufany strażnik po raz pierwszy nie wykonuje rozkazu: «Sprowadźcie tu Oribasia, szybko!»

Julian rozumie, że jest to dzieńznaczony przez los. «Nie chciałem słuchać wyroczni, ale wiedziałem, że tamta spadająca gwiazda zapowiadała mój koniec».

Oribasio, osobisty lekarz, na próżno stara się zatamować krwotok.

Młody władca patrzy na niego życzliwie: «Nie trudź się. Bogowie na mnie czekają... Jestem gotów».

Zaprzyjaźniony lekarz chwyta go pod pachy: «Leonzio, pomóż mi zaprowadzić go do obozu».

«Nie!» zatrzymuje ich Julian. «Proszę was o ostatnią przysługę: zabierzcie mnie na brzeg Tygrysu.»

W międzyczasie, niespodziewanie zjawia się Massimo, duchowy przewodnik imperatora - filozofa: «Inspiruje się Aleksandrem Wielkim.

Chce rzucić się do rzeki, żeby jego ciało pochłonął nurt wody. Kiedy jego ciało zniknie na zawsze, będziemy opowiadać, że wstąpił na Olimp w ognistym rydwanie. My, poganie, będziemy mogli w ten sposób czcić nowego boga: Juliana!»

Jednak centuria żołnierzy blokuje dostęp do rzeki: «Stać! My, chrześcijanie nie pozwolimy na to. Niech nikt się nie waży, ani teraz, ani nigdy, ukryć ciało Apostaty. Nie pozwolimy na to, żeby ktoś sobie wymyślił, że wstąpił do nieba».

Julian patrzy na ziemię przesiąkniętą jego krwią, po czym zwraca oczy ku niebu: «Heliosie, oto jestem!»

Piątek, 16 lipca 2010 r.

Przy tym ukropie, dzisiejszy dzień nie jest odpowiedni na lot, ale żaden taki nie jest; zawsze się boję, kiedy to nie ja prowadzę, nawet jeśli chodziłoby o sanki na równinie pokrytej miękkim śniegiem. Czy na słynnej liście Dustina Hoffmanna w filmie „*Rain man*” *Turkish Airlines* znajdowały się pośród linii lotniczych, które ulegały wypadkom, czy nie?

Podczas gdy stoję i czekam na pokładzie samolotu, żeby dwóch starsuszków umieściło swoje bagaże, zjawia się *steward* [*pracownik obsługujący pasażerów w samolocie*]. Zwraca się do kobiety, która dopiero co rozsiadła się wygodnie w siedzeniu: «Przepraszam panią, ale nie może pani tu zostać».

«To miejsce mojego męża, ale...»

«Odstąpiłem żonie siedzenie przy oknie» wtrącił się małżonek około siedemdziesiątki. «Proszę zrozumieć, lubi widok z okna.»

«Rozumiem, proszę pana, ale to pan tam powinien siedzieć» nalega chłopak.

«A to dlaczego?» pyta kobieta, która nawet nie myśli o tym, żeby wstać.

«Ponieważ», wyjaśnia uprzejmie *steward*, «to okno jest także wyjściem ewakuacyjnym i pani nie byłaby w stanie je otworzyć gdyby...»

«Czy... jest takie prawdopodobieństwo?» pytam.

Steward odpowiada zwracając się do turysty w podeszłym wieku:

«W przypadku gdyby... pan byłby w stanie wyważyć drzwi, pana żona raczej nie».

«Ach, w przypadku» powtarzam oddalając się od trójki rozmówców wyraźnie zaniepokojony.

Siadam. Chowam słuchawki *mp3* za puklami włosów zwisającymi przed moimi uszami (jestem przekonany, że niczemu nie służy wyłączanie urządzeń elektronicznych). Klasyczny Vecchioni [*Roberto Vecchioni - włoski piosenkarz, kompozytor, pisarz*] zagłusza hałas najbardziej krytycznej fazy lotu: startu.

Łądowanie w Ankarze idzie gładko; niemniej, po wyjściu mam ochotę uklęknąć i pocałować ziemię, jak to robił papież. Powietrzem nie da się oddychać, asfalt pasa jest rozżarzony. Wszystkie lotniska są takie same: te same znaki, identyczne rozmieszczenie kontuarów. Uda mi się znaleźć walizkę na taśmie czy wysłali ją do Sankt Petersburga? Niewiarygodne, ale

walizka jest i odbieram tą właściwą przy drugim podejściu (także walizki są wszystkie takie same: prędzej czy później będę musiał zdecydować się na doczepienie do niej karteczki imiennej).

Kolejka do urzędu celnego przesuwa się powoli; kiedy przychodzi moja kolej, chociaż raz przydaje mi się zrobienie doktoratu w Niemczech: za granicą nikt nie zna włoskiego.

«*Sprechen Sie Deutsch?*» pytam.

«*Ja*» odpowiada oschle celnik.

Wyciągam paszport z torby na ramię i wręczam mu go. Celnik przygląda się uważnie zdjęciu, podnosi wzrok, który spotyka się z moim i znów patrzy na zdjęcie, na koniec pyta czy nazywam się Francesco Speri.

Przytakuję. Faktycznie nie wyglądam już tak jak na zdjęciu zrobionym 5 lat temu i 12 kilogramów temu.

Spojrzenie celnika robi się nagle poważne.

«*Können Sie mir folgen?*» wykrzyknął żołnierskim tonem.

Zdziwiony prośbą, żeby za nim pójść, pytam o powód, być może w sposób mało uprzejmy. Nieprzejednany celnik nalega, a ja jestem zmuszony iść za nim.

Przechodzimy przez długi ciemny korytarz, mijamy różne drzwi, wszystkie zamknięte: przypomina to mroczny szpital z dawnych lat, który można jeszcze spotkać w małych miejscowościach. Machnięciem ręki zaprasza mnie do ostatniego pokoju po prawej stronie: w nim wyprostowany mężczyzna niskiego wzrostu i w wojskowych butach dyktuje coś drugiemu, zajętemu pisaniem na przestarzałej maszynie do pisania. Pomimo swojego wzrostu, mężczyzna musi być majorem lub pułkownikiem, w każdym bądź razie, kimś ważnym. Uśmiechając się lekko pod czarnym wąsem i trzymając w masywnych dłoniach oparcie niewygodnego drewnianego krzesła wskazuje, bym usiadł. Następnie „szefunio” prowadzi ożywioną dyskusję z urzędnikiem, który mnie tutaj przyprowadził; drugi pracownik przerywa pisanie i włącza się do rozmowy, ale natychmiast zostaje przez nich uciszony. Po raz pierwszy od mojego wyjazdu przychodzi mi na myśl profesor Barbarino, który jest poniekąd powodem mojej podróży: nalegał, żebym uczył się tureckiego, żebym mógł z nim tu prowadzić wykopaliska. Zawsze mu odpowiadałem, że nie jestem archeologiem, tylko historykiem, a w każdym razie, że nie trzeba mówić w danym języku, żeby prowadzić wykopaliska archeologiczne; do całej reszty wystarczyło, żeby to on był w stanie porozumieć się z władzami.

Wraz z upływem minut, ogarnia mnie niepokój. Celnicy wykrzykują coś po turecku i zakładam, że mówią o mnie: co jakiś czas wskazują na mnie lekkim ruchem głowy. Podnoszę wzrok: brązowa tapeta została przyklejona, najlepiej jak się dało, na białych płytkach. Za generałem (w międzyczasie go awansowałem: wydaje się, że to on podejmuje tu decyzje) rzuca się w oczy ogromny obraz mężczyzny w mundurze oficera wysokiej rangi.

«*Haben Sie verstanden?*»

[Jak mogę zrozumieć, jeśli mówicie dialektem z gór wschodniej Anatolii!] Wyjaśniają mi, że sprowadzą kogoś z ambasady włoskiej; pytam o powód, ale nikt nie raczy mi odpowiedzieć. Ten „generał” mówi niewiele i za dużo się uśmiecha: intuicyjnie nie wzbudza we mnie zaufania!

Celnik, który mnie tu przyprowadził prosi, a wręcz nakazuje mi znowu za nim iść. Oddalając się od obrazu na ścianie, zakładam, że jest to ten sam generał za młodu; z drugiej jednak strony, wszyscy mężczyźni z wąsami wydają mi się tacy sami.

Znów przemierzamy korytarz aż do jeszcze bardziej ponurego pomieszczenia: bez krat, ale przypomina mi celę, może dlatego, że nie ma w nim okien, a może dlatego, że celnik stoi przed wyjściem, jakby chciał je zablokować swoją okazałą, masywną posturą.

Spędzam niekończącą się godzinę zamknięty w tym pokoju: nie wiem co się ze mną stanie. Nagle, słysząc w oddali stukot obcasów, następnie dźwięk ustaje, słysząc niewyraźne głosy, po czym stukot obcasów wydaje się przybliżać...

«Dzień dobry, jestem Francesco Speri» wstaje.

Wchodzi dziewczyna około 35 lat, niskiego wzrostu, z długimi włosami: «Dzień dobry, nazywam się Chiara Rigoni, jestem tłumaczką z ambasady».

Ściskam jej dłoń przez długi czas, jakbym chciał się jej chwycić niczym koła ratunkowego: «Nie jestem w stanie zrozumieć co się stało! Długo rozmawiali między sobą, nie wiem o czym, potem mnie tu zamknęli i ...»

Celnik, tym razem oparty o framugę drzwi z udawaną nonszalancją, przerywa mi, zwracając się do nowo przybyłej po turecku.

«Wyjaśniają, że nie został pan zatrzymany; czekał tu pan na mnie. W każdym razie, idę porozmawiać z porucznikiem Karimem» oświadcza Chiara, wychodząc z pomieszczenia.

Jest Włoszką czy Turczynką? Jasna cera, blond włosy, nawet jeśli mogą nie być naturalne, nie sugerują, żeby była Turczynką, ale jej sposób bycia, zbyt

formalny, nie jest typowy dla Włochów. W każdym bądź razie, czarny wąs ma tylko porucznik!

Tymczasem, celnik znów ustawił się przed wejściem: może to i prawda, że mnie nie skuli, ale nadal czuję, że się duszę. Potem wątpliwość: «A zatem, przepraszam, pan rozumie język włoski?»

Zaprzecza od niechcienia, potwierdzając w ten sposób moje podejrzenia. Podniosłem się, żeby zadać mu to pytanie, a on stanowczym gestem „radzi mi” wrócić na miejsce; nie na miejscu byłoby polemizowanie, więc z powrotem siadam na krześle.

To długie wyczekiwanie na siedząco, w strachu, co mogłoby się stać, gdybym wstał, przywodzi mi na myśl jedną z wielu niedziel spędzonych na oglądaniu z ławki meczów drużyny, w której grałem jako dziecko, z chęcią, ale i z przerażeniem, że zostanę nagle wezwany na boisko.

Nigdy nie miałem talentu do piłki nożnej, zwłaszcza w kraju takim jak Włochy, gdzie przyznać się do tego graniczy z herezją: mężczyzna, jako mężczyzna, musi umieć grać w piłkę. Próbowiałem w osiedlowej drużynie jako napastnik, ponieważ każdy, kto gra w piłkę ma jeden cel: strzelić gola. Szybko jednak zdałem sobie sprawę, że rzadko osiągam ten cel, jeszcze szybciej odkrył to trener, który cofnął mnie na środek boiska. Wraz ze zmianą trenera (zdarza się to nie tylko w drużynach z *serii A*) zostałem natychmiast przeniesiony do obrony, gdzie nauczyłem się tylko jednego ruchu: rzucania się na ziemię ślizgiem, kiedy pojawiał się napastnik; zazwyczaj nie udawało mi się trafić w piłkę, ani, na szczęście, w nogi przeciwnika. Jedną była tylko rzecz, którą potrafiłem robić, do tego stopnia, że znów zostałem cofnięty: stać na bramce. Już bardziej nie mogłem się wycofać, chyba że stałbym się chłopcem do podawania piłek: uniknąłem tego upokorzenia wycofując się jako pierwszy z drużyny. Jednak przez jakiś rok byłem bramkarzem, a raczej drugim bramkarzem. Teraz pomiędzy słupkami w *serii A* stoją przystojni młodzieńcy w otoczeniu supermodelek, ale wtedy nikt nie chciał stać na bramce (stamtąd nie strzelało się goli) i trafiał tam zawsze największy „łamaga” drużyny. Cóż, czerpałem z tego największą satysfakcję, byłem jego zastępcą!

Wstaję z „ławki” tureckiego urzędu celnego dopiero wtedy, gdy znów słyszę stukot obcasów.

«Wszystko w porządku; teraz zaprowadzę pana, żeby mógł pan poprosić o tymczasowy dokument na dni swojego pobytu tutaj. W poniedziałek oddadzą panu paszport» oznajmia tłumaczka.

«Ale co jest nie tak?»

«To tylko kontrola» stara się mnie uspokoić, sprawiając, że czuję się jeszcze bardziej niespokojny. «Porucznik Karim musi poczekać na zielone światło z biura ministerstwa, które otwiera się dopiero w poniedziałek. Tymczasem, pospieszmy się do ambasady: biuro zamyka się za godzinę.» Podążam za szarą garsonką w paski na zewnątrz tego przerażającego miejsca. Taksówki w Turcji zazwyczaj są koloru żółtego, tak jak w dużej części świata, ta jednak ma niezrozumiały kolor pastelowego różu. Dziewczyna jest miła, ale zdystansowana; podczas gdy patrzy przez okno rozkojarzona, udaje mi się ją przekonać, by przejść na ty przez resztę podróży.

Półśłowami opowiada mi, że jest córką Włochów, urodziła się i wychowała w Turcji: włoskiego nauczyła się od rodziców, którzy nigdy nie przywykli do tureckiego i którzy otworzyli lodziarnię w miasteczku blisko Ankarę.

«Chciałabym zobaczyć Włochy: Wenecję, Padwę, Jesolo, Oderzo...»

Mamy także kilka innych niezgorszych miast w Toskanii i w innych częściach półwyspu, ale domyślam się, że jej rodzice są Wenecjanami, więc nie odpowiadam. Także w Niemczech wszystkie włoskie lodziarnie należą do Wenecjan: ten region słynie z rożków, tak jak Kampania z pizzy.

W ambasadzie wydają mi karteczkę. Powinna ona zapewnić mi swobodę poruszania się, ale biorąc pod uwagę, jak zaczęła się podróż...

«Obawiam się, że z tą przepustką nie pojedę za daleko. Nie jestem tu na urlopie, ale żeby sprowadzić do Włoch ciało mojego profesora uniwersyteckiego i mojego byłego szefa...»

«Jest pochowany w Ankarze?» spytała, nie rozumiejąc dobrze problemu.

«Luigi Barbarino, tak się nazywał, zmarł tydzień temu, podczas wykopalisk na stanowisku archeologicznym w mieście Tarsus. Muszę pojechać aż tam, żeby odzyskać ciało...»

«W Tarsusie mieszka mój przyjaciel... tak naprawdę „były” przyjaciel: mógłby ci pomóc. Jest inżynierem w przemyśle petrochemiczno-rafineryjnym. Podam ci adres» mówi, wyrywając stronę z notesu i zapisując coś na niej.

Nie chciałbym tego wykorzystywać, z drugiej jednak strony: «Dziękuję, ale jak poradzę sobie z językiem?»

«On dobrze mówi po włosku» odpowiada poirytowana. «To ja nauczyłam go języka.»

«A czy mógłbym dostać jego numeru telefonu, żebym mógł stąd do niego zadzwonić?»

«Właściwie to go usunęłam, ale jeśli pojedziesz pod ten adres, na pewno go tam znajdziesz. Powiedz, że przysyła cię Chiara.»

Chiara traktuje mnie jak dziecko: odprowadza mnie na dworzec autobusowy, prosi w moim imieniu o bilet i pomaga mi wsiąść do autobusu. Wydziela zapach, który pachnie tajemnicą i Orientem. Odchodzę od niej, ale dopiero po tym, jak zapisałem jej na karteczce mój numer telefonu.

Z zewnątrz autobus do Tarsus wygląda ładnie, w stylu lat 60., dopiero po wejściu rozumiem, że naprawdę pochodzi z tego okresu. Poza tym, wszyscy palą: nie da się oddychać tym powietrzem. Na szczęście w latach sześćdziesiątych można było jeszcze otwierać okna: przez całe sześć godzin podróżuję z głową za oknem, jak to robią psy (nie wiadomo czemu). Tak wychylony, oglądam Ankarę, do tej pory poznałem tylko jej smutne urzędy. Budynki przypominają nieskończoną liczbę szarych i jednolitych domów w Londynie, z jedną jednak różnicą: te tutaj są bardziej dekadencjonalne! Przez moment usuwam z linii wzroku domy oraz kopuły meczetów i na próżno staram się dostrzec kolumnę, którą miasto *Ancyra* (Ankara w epoce Imperium Rzymskiego) wzniosło na cześć imperatora Flawiusza Klaudiusza Juliana.

Drogi Julian!

Od lat mam prawdziwą obsesję na punkcie ostatniego pogańskiego imperatora epoki rzymskiej: kiedy pracowałem na uniwersytecie, napisałem różne artykuły i parę książek na jego temat. Nadano mu przydomek *Apostata [inaczej Odstępcy]*, ponieważ jako chrześcijanin nawrócił się na pogaństwo, a następnie przez całe swoje krótkie życie starał się przyciągnąć nowych wyznawców poprzez reformę tradycyjnej religii: utopią było uczynienie całego imperium, już nieuchronnie schryścianizowanego, pogańskim. Powód, dla którego jest on dla mnie tak fascynujący jest prosty: imperator Julian chciał zmienić świat, nie zdając sobie sprawy z tego, że świat już się zmienił, ale w zupełnie innym kierunku, z którego nie było już odwrotu. Jeszcze w samolocie obiecałem sobie, że kolumna imperator-filozofa będzie pierwszą rzeczą, jaką zobaczę w Ankarze, ale potem, przez ten biurokratyczny bałagan...

W rzeczywistości Julian jest prawdziwym powodem, który skłonił mnie do przyjazdu do Turcji: oficjalną misją było sprowadzenie szczątków biednego Barbarino, ale jestem tu przede wszystkim po to, żeby zobaczyć grób

drogiego imperatora, którego jak dotąd nie odnaleziono, ale którego, jak napisał mi profesor na krótko przed śmiercią, nareszcie odnalazł!

Autobus pędzi przez niekończącą się bezludną równinę. Zasypiam, wyobrażając sobie, że jestem w jednym z tych filmów, w których bohater przemierza autobusem Stany Zjednoczone od wybrzeża do wybrzeża.

Tymczasem w Ankarze, porucznik Karim, ten z niekończącego się popołudnia na odprawie celnej, wraca do domu, gdzie czeka na niego dwójka jego dzieci: ich matka odeszła od nich lata temu. Aturk, najstarszy, stoi za drzwiami od kilku minut i otwiera je, gdy tylko słyszy hałas starego samochodu.

«No więc, dostanę to?»

«Nawet się nie przywitasz?» odpowiada szorstko ojciec.

«Witamy z powrotem, poruczniku», mówi Aturk, udając poważny ton, po czym powtarza: «Dostanę to?»

Karim nie odpowiada, wchodzi do domu, odkłada marynarkę służbową na wieszak, idzie usiąść w brązowym fotelu w salonie; syn podąża za nim.

«Nic mi nie powiedzieli.»

«A Ty nie możesz do nich zadzwonić? Zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to ważne?»

«Wiem» odpowiada oschle. «Przynieś mi coś do picia.»

Porucznik wstaje, żeby wziąć ponownie marynarkę, z wewnętrznej kieszeni wyciąga mały, czarny, skórzany notes, wraca na zniszczony fotel i wybiera numer: «Dobry wieczór, nazywam się...»

«Proszę się nie przedstawiać!»

Natychmiast przerywa mu głos po drugiej stronie słuchawki.

«Mówiłem panu, żeby nie dzwonić.»

«Tak... to prawda, ale widzi pan...»

Tajemniczy głos od razu przerywa: «Zrobił pan to, o co pana prosiłem?»

«Tak, pan...»

«Powiedziałem panu, żeby nie używał pan nazwisk!»

«Krótko mówiąc, ten Włoch: zatrzymaliśmy go i przetrzymaliśmy tak długo, jak to było możliwe. Teraz ma przepustkę z ambasady, odzyska paszport dopiero w poniedziałek.»

«Dobrze! Proszę pamiętać: kiedy wróci do Ankary z trumną, proszę zrobić tak, jak to panu napisaliśmy.»

«Tak jest, szczerze ją zamknąć i wygrawerować litery...»

«Proszę trzymać się instrukcji» przerywa mu stanowczy głos.

Porucznik kontynuuje bojaźliwie: «Oczywiście. Chciałbym wiedzieć, czy zgodnie z ustaleniami, mój syn...»

«Może złożyć wniosek.»

«Czyli zapewnia mnie pan, że otrzyma...»

Znów głos, stanowczy: «Mówię panu, żeby złożył wniosek: oznacza to, że zostanie przyjęty!»

«Ja... ja, dziękuję panu.»

«Żegnam pana. I proszę więcej nie dzwonić na ten numer telefonu!»

«Jeszcze raz dziękuję, miłego wieczoru.»

Aturk wraca z kuchni powolnym, niezgrabnym krokiem, uważając, by nie uronić ani kropli z kieliszka pełnego słabej jakości białego wina: «A więc?»

«Możesz złożyć wniosek.»

Syn również nie rozumie tego wyrażenia: «Mam gotowy wniosek od sześciu miesięcy...»

«Powiedziałem ci, żebyś zaaplikował: miejsce jest twoje.»

«Dziękuję, dziękuję» Aturk zbliża się do ojca, jakby chciał go pocałować. Ogranicza się do uścisku, chłodno odwzajemnionego.

«No już, a teraz idź przygotować kolację dla ciebie i dla twojego brata.»

Przed pójściem spać, porucznik sączy pomału swoje wino, zadowolony z tego, co zrobił tego dnia.

Sobota, 17 lipca

Zasnąłem, śniąc o Kalifornii, budzę się przez hałas klaksonu i niezrozumiałe krzyki, podczas gdy autobus posuwa się powoli aż do dworca: Tarsus przypomina Palermo, słynące według filmu „Johnny Wykałaczką” ze swojego chaotycznego ruchu ulicznego.

Pieszko docieram do centrum, a przynajmniej tak mi się wydaje: mijam monumentalną bramę z czasów rzymskich (czyżby to była słynna brama, gdzie Antoniusz spotkał Kleopatę przed porażką pod Akcjum?). Tutaj nikt nie zna niemieckiego, ograniczam się do pokazania kartki z adresem inżyniera co najmniej dziesięciu osobom: pomiędzy gestami i półsłówkami po angielsku, wskazują drogę ciągnącą się wzdłuż rzeki Tars. Klasyczne wspomnienia przypominają mi, że to rzeka Cydnus, słynna w starożytności ze swoich przejrzystych, choć lodowatych wód, do tego stopnia, że Aleksander Wielki ryzykował w nich śmiercią przez utonięcie. Teraz została zredukowana do przyprawiającej o mdłości, poczerniałej rzeki, przypuszczam, że to z powodu ścieków pochodzących z licznych przemysłów naftowych znajdujących się w okolicy. Dzwonię pod numer

domu 60, coś w rodzaju domku na palach: otwiera starsza, zgarbiona kobieta.

«Szukam Fatiha Persina...» pytam trochę roztargniony w ojczystym języku. «Włochu, wejź Włochu» staruszka uśmiecha się, pokazując kilka pozostałych zębów i zapraszając mnie do środka. Następnie ucieka do góry po drabinie.

Ten dom jest dziwny: w połowie stoi na rzece, nie ma w nim żadnych szczególnych przedmiotów czy mebli, ale jest oryginalny, jedyny w swoim rodzaju. Siadam na czerwonym drewnianym krześle z siedzeniem plecionym ze słomy. Zapach wolno gotowanego mięsnego sosu rozniósł się po całym domu.

Po chwiejnej drabinie opierającej się o otwór w suficie schodzi mężczyzna, około czterdziestki, wysoki i chudy, bardzo wysoki i zbyt chudy: «Dzień dobry, jestem Fatih» podaje mi rękę i w tym samym czasie mówi coś po turecku do kobiety.

«Jestem Francesco Speri, dostałem Pana adres od Chiary... Chiary...» zapomniałem jej nazwiska.

«Rigoni» kończy Fatih, trochę zdziwiony. «Co mogę dla ciebie zrobić?» Podczas gdy inżynier siada, przychodzi jego matka, przynajmniej tak myślę, z tacą i dwiema dużymi filiżankami kawy. Nie wygląda zachęcająco: coś w niej pływa i ma cierpki zapach, tak, cierpki, nie gorzki.

Wykonuję gest wdzięczności, biorąc do ręki ogromny kubek. «Chiara powiedziała, że będę mógł prosić pana o pomoc: muszę podążać drogą wzdłuż rzeki w kierunku gór Taurus. Gdzieś w tamtych rejonach, mój profesor archeologii prowadził wykopaliska, kiedy...»

«Nie smakuje jak włoska kawa, prawda? W środku jest cytryna» wyjaśnia Fatih zauważając moją nieufność. Uśmiecha się: «Nie ma problemu, dziś jest sobota i mogę cię tam zabrać na motorze».

Przyjmuję pomoc, ale najpierw wypijam łąpczywie ten rodzaj wrzącej lemoniady o kawowym smaku.

Wyjeżdżamy natychmiast, bez kasku. Motocykl jest właściwie motorowerem: nie przekracza 30km/h, ale nawet w tym przypadku, nie będąc kierowcą, czuję się jak w samolocie! Droga jest długa i kręta: na każdym zakręcie ściskam mocniej biednego kierowcę; trochę mnie to zawstydza, ale strach, że mogę zostać wyrzucony jest jeszcze większy. Wydaje się, że ta kręta droga nigdy się nie kończy, ale nagle Fatih hamuje: dostrzegł znaki ostrzegające o trwających pracach. Zostawiamy motorower

i idziemy dalej pieszo aż do pochyłego wzgórza: jest to miejsce wykopalisk profesora.

Biedny Julian: pochowany na zagubionej równinie górskiej, z dala od bajecznego świata, nad którym panował. W rzeczywistości nie był to jego wybór: w nienawiści do mieszkańców Antiochii, skąd wyruszył na wyprawę do Persji, obiecał sobie, że po powrocie, zamiast znów oglądać Antiocheńczyków, rozbije obóz w Tarsie. Nie wrócił z tej wojny żywy. Jego oficerowie, okazując najwyższy szacunek, zdecydowali się pochować go tam, gdzie postanowił spędzić tamtą zimę: długą, niekończącą się zimę.

Nie ma dostępu do wykopaliska, zostało ogrodzone prymitywnym drutem kolczastym. Podchodzi mężczyzna, jedną ręką trzyma na głowie ogromny słomiany kapelusz. Wydaje się nieufny, ale jak tylko wspominam o Luigim Barbarino, otwiera nam, przedstawiając się jako asystent profesora. Słońce świeci bezlitośnie.

Daje znak, żebyśmy za nim poszli do swego rodzaju magazynu: widzę spiętrzone fragmenty starożytnych waz, kości zwierząt, a nawet garnki i brudne ubrania.

Myślę, że w tym magazynie, wyłożonym metalowymi płytami i przepelnionym kurzem, ten dziwny typ nie tylko pracuje, ale również śpi i je.

Chciałbym się czegoś dowiedzieć na temat niesamowitego odnalezienia Apostaty. Ze skruchą pytam go najpierw o profesora, korzystając z tłumaczenia Fatiha.

Wyraz twarzy mojego „tłumacza” staje się najpierw strapiony, a potem posępny, z drugiej jednak strony nie zdążyłem powiedzieć mu o śmierci profesora: «Mówi, że profesor został znaleziony martwy w ubiegłą sobotę u stóp tego wzgórza?»

Asystent twierdzi, że w miniony piątek przed wyjazdem widział wybitnego archeologa robiącego pomiary w sektorze, w którym prowadził wykopaliska, a następnego ranka znalazł go leżącego na ziemi nieco dalej w dole rzeki. Miał zawał serca, a później stoczył się bez życia po zboczu. Turek nie wydaje się szczególnie zasmucony, być może praca pod kierunkiem profesora wywoływała u niego, podobnie jak u mnie, taki sam niesmak. Asystent, drobnej postury, ale o szybkim chodzie, dociera przed nami na miejsce nieszczęścia: chce nam pokazać dokładne miejsce, w którym znalazł profesora.

«Co to jest, tam na górze? Czy to grobowiec?» pytam.

«Tak, robił tam zdjęcia. Znalazł jakiś kamień z ważnym napisem, kiedy to się stało» tłumaczy Fatih.

Wspinam się na wzgórze dysząc, dwójka towarzyszy podąża za mną. Widzę zawalone pozostałości czegoś, co mogło być budynkiem pogrzebowym. Nie widzę jednak epigrafu, który powinien być umieszczony przy wejściu. Tylko ten kamień z inskrypcjami, znaleziony przez profesora w zeszłym tygodniu (o którym poinformował mnie e-mailem), może potwierdzić fakt, że jest tu pochowany Julian.

«A znalezione tutaj materiały?» pytam z udawaną obojętnością.

«Znajdują się w magazynie, w którym byliśmy wcześniej, ale jeszcze przez krótki czas, potem przyjdzie urzędnik państwowy i wszystko zabierze» informuje mnie Fatih.

Muszę się pospieszyć.

«Muszę iść do toalety» mówię, dotykając się brzucha.

«Jest tylko w magazynie.»

«Pamiętam drogę, wy możecie tu zostać, dziękuję.»

Pędzę w kierunku składu i zaczynam szukać gorączkowo w stosie skrzynek: próbuję przesunąć niektóre, ale są ciężkie. Na każdej z nich jest coś napisane wyblakłym, niebieskim flamastrem: powinna tu znajdować się data i sektor wykopalisk, z którego pochodzą znaleziska.

Którego dnia napisał do mnie profesor o odnalezieniu grobowca? Sprawdzam skrzynkę z 9 lipca: tylko fragmenty tynku i zwykłej ceramiki. Oczywiście: odkrycie musiało mieć miejsce dzień wcześniej, biorąc pod uwagę, że wysłał mi maila rankiem 9-ego, a potem zmarł tego samego wieczoru.

Wyciągam skrzynkę z 8 lipca i nie mogę w to uwierzyć, znajduję epigraf!

Fragment marmuru, o długości niespełna metra, z inskrypcją w języku greckim: spieszy mi się, ale mam trudności z rozszyfrowaniem źle zachowanych liter; robię więc szybko kilka zdjęć aparatem *Nikon*, z którym nigdy się nie rozstaję.

Następnie, przy użyciu bibuły pozostawionej na stole i ołówka, staram się zrobić kalkę: jest to prymitywna, ale skuteczna technika, której nauczyłem się podczas mojej specjalizacji w Niemczech. Pocierając ołówkiem arkusz spoczywający na epigrafie, rowki wydrążonych liter pozostawiają pustkę: arkusz wydaje się cały szary, za wyjątkiem miejsc, które pozostają białe i które dokładnie zarysowują kształt wygrawerowanych liter.

Straciłem zbyt dużo czasu, biegnę z powrotem na to nieszczęsne zbocze: «Wybaczcie... nie wiem, czy to przez te zakręty podczas podróży, nie, to pewnie przez historię gwałtownej śmierci profesora... otóż, źle się poczułem, ale teraz jest już lepiej. W każdym razie, czy profesor jest tutaj?»

Oboje patrzą na mnie zdezorientowani.

Krótko mówiąc, ciało: czy mogę je zabrać? Zostałem poproszony, żeby sprowadzić je do Włoch, i...»

«Nie. Znajduje się w miejskiej kostnicy... Wiem, gdzie to jest, jeśli chcesz, natychmiast Cię tam zabiorę» proponuje uprzejmie Fatih.

Dziękujemy asystentowi, który odchodzi, przyglądając się nam przez długi czas.

Wsiadamy na motorower.

«*Gülek Boğazi*» krzyczy Fatih krótko po odjeździe.

Pomiędzy hałasem motoroweru a strachem nic nie rozumiem.

«*Gülek Boğazi*» upiera się, wskazując na naturalny wąwóz w górach.

Spoglądam w dół i rozumiem: chodzi o „Bramę Cylicyjską”, jedyne przejście od czasów starożytnych pomiędzy wewnętrzną Anatolią a wybrzeżem. Przejeżdżał tędy Aleksander Wielki: wzór przywódcy dla wielu, nawet dla Juliana.

«*Gülek Boğazi*» powtarzam, podczas gdy strome urwisko sprawia, że mocniej ściskam kierownicę.

Zjazd, jak to często bywa, jest gorszy od wjazdu: motorower wydaje się nie mieć hamulców i przy każdym zakręcie, zamiast podziwiać krajobraz, myślę o możliwości stoczenia się w dół, następnie, w ostatniej chwili, motor skręca i jedziemy dalej.

Kiedy dojeżdżamy do szpitala w Tarsusie, moja twarz jest wyraźnie blada, do tego stopnia, że ryzykuję, że zostanę wzięty za pacjenta. Fatih prosi przechodzącą pielęgniarkę o informacje: podążam za moim towarzyszem przygód, powłócząc nogami w długich podziemiach aż do zimnego pomieszczenia.

Patolog niedostrzegalnie marszczy orli nos, kiedy pokazuję mu przepustkę z ambasady. W każdym razie każe mi podpisać serię dokumentów, być może pragnąc pozbyć się ciała. Wstaje, wręcza mi dwie kopie orzeczenia lekarskiego, po czym podaje mi rękę, potem ramię i znów rękę. Dziwny sposób na pożegnanie.

«Trzeba dostarczyć te dokumenty celnikom, żeby móc zabrać ciało do Włoch», tłumaczy Fatih, potem dodaje: «Trumna znajduje się na zewnątrz, na samochodzie, którym wrócisz do Ankary».

Dziękuję mu za tłumaczenie i za pomoc, ściskam go: jestem do tego przyzwyczajony po podróży na motorowerze: próbuję wsunąć mu 100 euro do kieszeni.

Inżynier obraża się na ten gest: «Nie... to była przyjemność, pozdrów Chiare, albo nie, powiedz jej, że jeśli chce, może do mnie zadzwonić. Ja nie chcę jej przeszkadzać, ale jeśli ona... to jest mój numer telefonu».

«Naprawdę nie wiem jak Ci dziękować, za wszystko. Pozdrów także... Twoją mamę.»

Na zewnątrz stoi karetka: wyobrażam sobie, że znajduje się w niej ciało. Już mam wsiadać, kiedy podchodzi do mnie dwóch podejrzanych zbirów. Próbuję się oddalić. Dwójka podąża za mną i, bełkocąc niezrozumiałe zdania, wpychają mnie przed zaniedbaną, białą furgonetkę: jest to wyznaczony środek transportu. W tylnej, odkrytej części widzę trumnę. Dwóch typów, dosłownie podnosząc mnie, każe mi wsiąść na tył razem z trumną; oni siadają z przodu.

Okropna podróż do celu zeszłej nocy była bułką z masłem w porównaniu z tą teraz: tam było pełno palaczy i musiałem podróżować z głową na zewnątrz, teraz jestem na świeżym powietrzu, sam i z trupem obok mnie! Wydaje się, że trumna, przymocowana prowizorycznymi opaskami, może wyskoczyć przy każdej dziurze; siedzę schowany po przeciwnej stronie: nie ośmielam się zbliżyć. Ogarnia mnie absurdalny strach przed spotkaniem twarzą w twarz z trupem: po tym, jak niechętnie rzuciłem pracę na uniwersytecie, nie chciałem nigdy więcej widzieć profesora żywego, a co dopiero martwego!

Wracam myślami do dnia, który minął i do tego, który jeszcze przede mną: na samą myśl o powrocie do urzędu celnego przechodzą mnie ciarki, z drugiej jednak strony zadaniem powierzonym mi przez dziekana Wydziału Filologicznego jest przywiezienie zwłok z powrotem do Włoch. Powtarzam to twierdzenie, jakbym chciał się naładować podczas długiej podróży, podczas gdy wiatr mocno we mnie uderza.

Niedziela, 18 lipca

Jest około trzeciej w nocy, kiedy furgonetka się zatrzymuje. Obawiam się, że chcą mnie tu zostawić, pośrodku niczego.

Dwójka wysiada i zwraca się do mnie w niezrozumiałym języku.

Mniejszy, a raczej mniej gruby, powtarza to samo zdanie, wykonując zamaszyste gesty rękami: domyślam się, że mam wysiąść. Podążam za tą dwójką do rozpadającej się chatki: jest to swego rodzaju strefa postojowa, połączenie przytulności z nędzą. Od razu biegnę do łazienki. To właśnie oznacza turecka łazienka: niechlujny, śmierdzący ustęp, bez wc.

Potem wchodzę do tego, co mówiąc eufemicznie, powinno być barem: pulchna kobieta przygotowuje dziwny napój, podczas gdy dwaj towarzysze podróży siedzą przy stoliku, paląc i popijając ogromne piwo. Korzystam z okazji, żeby zjeść śniadanie, starając się nie zwracać uwagi na fakt, że kierowca pije od samego rana. Powoli popijam kolejną już dużą, gorącą kawę w zestawie z focaccią nadziewaną dziwną wędliną, także jeśli chodzi o jej kolor: smak nie jest najlepszy, ale jestem bardzo głodny, jako że nie zjadłem kolacji z powodu nagłego wyjazdu do Tarsus.

Mija co najmniej pół godziny, zanim dwójka kończy połykać łąpczywie kolejne piwo i postanawia wrócić do furgonetki. Ten mniej pijany podaje mi stary koc: kiedy wyruszaliśmy powietrze było ciepłe, teraz jest kłujące, typowe dla porannych godzin. To pierwszy uprzejmy gest w moim kierunku: porzucony w tyle furgonetki, do tej pory czułem się jak koło zapasowe.

O świcie docieramy do Ankary; nadal jestem oszołomiony drogą i powietrzem, podczas gdy dwaj Turcy wyładowują trumnę z furgonetki, żeby przekazać ją grupie celników. Porucznik Karim nakazuje mi ją tam zostawić i wrócić po nią nazajutrz z dokumentami z ambasady: naprawdę nie podoba mi się ten typ! Dziękuję dwóm przewoźnikom hojnym napiwkami, którego nie odrzucają, podczas gdy ja żegnam Barbarina, przeniesionego do swego rodzaju garażu w podziemiach urzędu celnego.

Padam ze zmęczenia. Przed lotniskiem różne hotele mienią się w świetle nadchodzącego dnia. Wybieram jedyny z czterema gwiazdkami w szyldzie: *Hotel Esenboga Airport*. Z pewnością będzie drogi, ale to nie ma znaczenia: dziekan Sieny obiecał mi zwrot wszystkich kosztów, jeśli sprowadzę do ojczyzny szanownego kolegę.

Po dwóch nocach spędzonych w podróży, gdy tylko docieram do pokoju, „mdleję” na ogromnym łóżku. Budzi mnie dźwięk telefonu komórkowego, którego zapomniałem wyłączyć: „jest szósta rano! Kto mógłby dzwonić o tej godzinie?”

«Cześć, tu Chiara Rigoni. Celnicy powiedzieli mi, że wróciłeś z ciałem: muszę wyjaśnić ci szereg rzeczy do zrobienia.»

Po świetle przenikającym przez zasłony zdaję sobie sprawę, że jest szósta, ale po południu. Próbuję dojść do siebie: «Może porozmawiamy o tym później przy wspólnym posiłku?»

«Dobrze» odpowiada Chiara po chwili zawahania.

«W centrum jest restauracja: spotkajmy się tam o 9.30. Adres to Izmir Caddesi 3/17.»

«Czy mogłabyś powtórzyć?» pytam, jeszcze trochę oszołomiony.

«I-Z-M-I-R-C-A-D-D-E-S-I 3/17» przeliterowuje.

«Tak, zapisałem. O której godzinie się tam widzimy?»

«21.30-22.00, krótko mówiąc, na kolację» odpowiada.

W Turcji każdy musi mieć swój grafik, niemniej po śniadaniu o trzeciej i w oczekiwaniu na nocną kolację, od razu konsumuję paczkę orzeszków i sok owocowy, które znajduję w minibarze. Po odzyskaniu sił, wyciągam z saszetki kalkę inskrypcji zrobioną na górze Taurus; rozkładam ją ostrożnie i zaczynam tłumaczyć na poczekaniu z greckiego:

„Tu spoczywał Julian, wyrzucony przez rwący nurt Tygrysu:

Był dobrym imperatorem i mężnym wojownikiem.”

„Spoczywał”, „spoczywał”. Ten czasownik w czasie przeszłym, zamiast zwyczajowego czasu teraźniejszego, oznacza tylko jedno: w momencie robienia inskrypcji, ciała, lub tego co z niego pozostało, już tam nie było!

A więc epigraf został umieszczony na grobowcu: pomnik wzniesiony dla upamiętnienia pochówku znamienitego mężczyzny, ale którego zwłoki są teraz w innym miejscu. Ale gdzie?

Żeby oderwać się od tej myśli, postanawiam pójść zobaczyć słynną kolumnę ozdobioną historycznymi scenami, wzniesioną w mieście na cześć Apostaty. Ubieram się w pośpiechu, wychodzę z hotelu i wołam pierwszą taksówkę: «*Can you drive me to the place of Julian's column?*»

«Ach, ech...» odpowiada młody taksówkarz z osłupiałym spojrzeniem. A przecież plac słynie z kolumny Juliana, jedynej z czasów rzymskich, nadal *in situ*. Wykonuję gest graniczący z nieprzyzwoitością, żeby pokazać, że chodzi mi o kolumnę: jakimś sposobem chłopak dobrze interpretuje gest i rusza pełną parą.

«*Ulus, ulus*» powtarza niezrozumiale niepoohamowany taksówkarz. Zostawia mnie na anonimowym placu otoczonym nowoczesnymi budynkami; pośrodku stoi kolumna, wysoka 10-15 metrów: na niej przedstawione są epizody z życia Juliana. Chodzę dookoła podziwiając różne sceny, aż uderza mnie płaskorzeźba orszaku żałobnego zmarłego

imperatora Konstancjusza. Za zwłokami leżącymi na wozie pogrzebowym, procesję otwierają dwie postaci w koronach: o ile pamiętam, uczeni utożsamiali jedną z Julianem, a drugą, większą, z bogiem Heliosem. Tak więc, w świetle odkrycia epigrafu i pustego grobu, wysuwam alternatywną hipotezę: a jeśli cała scena nie przedstawia konduktu pogrzebowego Konstancjusza, lecz ceremonię przeniesienia ciała Apostaty? Być może, na kolumnie, która przedstawia najistotniejsze epizody z jego życia, chciano upamiętnić także jego ostatnią podróż! W tym przypadku, Julian nie byłby tym stojącym, ale wyciągniętym ciałem, podczas gdy podążające za nim postacie w koronach mogłyby być nowym panującym Walentynianem, a mniejsza postać, jego bratem Walensem. Być może także profesor się tego domyślił, z pewnością wierzę, że mogę powiedzieć coś, czego starożytni autorzy nam nie przekazali: po dotarciu do Tarsu, Walentynian i Walens nie ograniczyli się tylko do oddania hołdu nad grobem znamienitego poprzednika, lecz zabrali go ze sobą. Zapewne myśleli, że to nie może być odpowiednie miejsce spoczynku doczesnych szczątków imperatora [być może obawiali się, że spotka ich ten sam los: pochowanych w zapomnianym zakątku najbardziej górzystej Turcji]. Kazali zatem wznieść nad rzeką Cydnus pomnik-grobowiec z inskrypcją odnalezioną przez profesora, a jednocześnie kazali przenieść ciało Juliana w bardziej odpowiednie miejsce. Ale gdzie?

Nie mogę pozbyć się tego pytania z głowy, nawet kiedy idę na pieszo do centrum miasta; docieram na miejsce spotkania o 20.30, z dużym wyprzedzeniem. *Don Castillo*: nazwa wybranej restauracji nie sugeruje typowej tawerny. Siadam na zewnętrznym schodku lokalu: widzę przechodzące kobiety, w większości okryte długimi, czarnymi burkami.

Chiara, w swoich swoich służbowych obcasach, przybywa po godzinie i kwadransie: «Czekasz od dawna?»

«Nie» odpowiadam, wstając i rozprostowując zeszywniałe nogi. «Miło Cię widzieć.»

«Chodźmy.» Bierze mnie pod ramię.

W lokalu jest ciemno, nie widzę dobrze tego, co jem i może tak lepiej: nazwy potraw są niezrozumiałe, a ona, pod pretekstem niespodzianki i żeby pozwolić mi spróbować tureckiej kuchni, unika wyjaśniania mi tych nazw, dopóki nie skończę całej porcji. Zamówiła mięsa każdego rodzaju i w przeróżnych sosach: mam nadzieję, że to tylko cielęcina, a nie jakieś dziwne zwierzę.

Muszę podolać zadaniu, choć niechętnie: «Twój przyjaciel był miły, bardzo mi pomógł».

«Tak, zawsze jest miły dla wszystkich» odpowiada chłodno.

«Mówiąc o Fatihu, chciałby z tobą porozmawiać, ale nie chce przeszkadzać.»

Daję jej karteczkę: «Dał mi swój numer telefonu komórkowego i powiedział... cóż, byłoby mu miło, gdybyś...»

«Dziękuję,» przerywa, «ale nie, zatrzymaj numer, może ci się bardziej przydać!»

Nie nalegam, najwyraźniej dotknąłem delikatnego tematu: «A zatem, co miałaś mi wyjaśnić przed jutrzejszym dniem?»

Chiara szczegółowo wymienia różne kroki.

Najpierw, ambasada o 8.00: żeby móc odebrać zwłoki muszę wziąć dokument i uzyskać podpis poświadczający autentyczność na dokumentach ze szpitala w Tarsusie, .

Następny przystanek w sławetnym urzędzie celnym, żeby odzyskać paszport, w końcu specjalny lot o 11.00. Jej nie będzie, ale nie powinienem mieć problemów. Serdecznie jej dziękuję.

«To była przyjemność» mówi z uśmiechem, który wydaje mi się złośliwy.

Poniedziałek, 19 lipca

Z zewnątrz ambasada wygląda tak, jak wyobraża się ambasadę: duża, biała, z wyglądem przypominającym niektóre wiejskie domy w stylu wiktoriańskim w południowych Stanach Zjednoczonych. Oczekuję gospodarza z orszakiem niewolników, przyjmuje mnie natomiast manager z sekretarką, który ma dla mnie mało czasu. Dostarczam dokumenty z kostnicy, sekretarka przegląda je z roztargnieniem: stempluje, przypina do nich przepustkę i równie szybko rozwiązuje biurokratyczne procedury. Także w urzędzie celnym sprawy idą lepiej niż wcześniej. Nie ma przerażającego urzędnika z piątku, ale jest jeden bardziej uprzejmy: w końcu odzyskuję paszport; w przyszłości zrobię kopię dokumentów przed wyjazdem (tak na wszelki wypadek).

Towarzyszą mi, a raczej mnie eskortują, dopóki nie wsiądę do „specjalnego samolotu”: właściwie do niskiego i przysadzistego transportowca do przewozu towarów. Oceniam, że szanse na to, że będzie w stanie wystartować są niewielkie. Wchodzę po schodkach do szerokiego wejścia w tylnej części (a nie z boku), przechodzę przez ogromną ładownię, załadowaną wszystkim po trochu: za zasuwaną kurtyną znajduje się około

You've Just Finished your Free Sample

Enjoyed the preview?

Buy: <http://www.ebooks2go.com>